

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Alfred Rambaud

PIERŚCIEŃ CEZARA

Powieść

Tytuł oryginału:

L'ANNEAU DE CÉZAR

Wydawnictwo „Tower Press”

Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Część pierwsza

PARYZOWIE LUTECJI

WSTĘP

Znużony długoletnimi trudami wojennymi, osłabiony wiekiem i ranami, osiadłem wreszcie na stałe w Szarej Skale, mojej wsi rodzinnej, leżącej nad Rzeką Bobrów, dopływem Sekwany, niedaleko miasta Lutecji. Wspomnienia te zapisuje dla mych dzieci i wnuków, by wiedziały, że ich ojciec i dziad nie szczędził krwi i zdrowia w wielkiej wojnie o niepodległość Galii. Będę opisywał wszystko może zbyt szeroko, bo starzy lubią opowiadać o swej młodości, a żołnierze – o swych czynach wojennych. Sądzę jednak, że ta szczegółowość mych wspomnień nie będzie zbyt cenna, moje bowiem wnuki i prawnuki, ba! nawet moje dzieci nie mogą sobie po prostu wyobrazić, do jakiego stopnia zmienił się cały świat i nawet ten mały nasz zakątek rodzinny, odkąd na wybrzeżach Sekwany ukazały się po raz pierwszy złote orły legionów rzymskich.

Gdy wspominam swoje lata dzieciństwa i pierwszej młodości, a później przenoszę się myślą i wzrokiem do ludzi i rzeczy współczesnych, to zdaje mi się, że się przesiedliłem z jednej gwiazdy na drugą lub że przeżyłem z dziesięć pokoleń ludzkich. A mam wszak dopiero lat osiemdziesiąt i czuję się zupełnie zdrow na ciele i duszy. Włosy moje, jakkolwiek pokryte już szronem starości, pozostały dotąd obfite, zębami mogę jeszcze gryźć orzechy, a na wspomnienie dawnych bojów czuję, iż miecz drży mi u boku, i zdaje mi się, że i teraz jeszcze dżida nie zaciążyłaby mej starej dłoni.

Wspomnienia swoje układam i piszę w języku Rzymian, mimo że walczyłem ze wszystkich sił z nimi i jakkolwiek – wbrew zdaniu wielu innych naczelników galijskich – nie uważam, by panowanie ich nad nami było nieodwołalne. Ale nie umiem pisać w żadnym ze znanych mi narzeczy Celtów lub Bołgów. Sądzę nawet, że nikt spośród nas, Galów, mimo wysokiego chociażby wykształcenia w szkołach druidów, nie zdołałby pisać w żadnym z tych narzeczy, które są dobre tylko do mówienia. A przy tym język Rzymian znany jest powszechnie teraz we wszystkich krajach Celtyki – jak i po całym świecie zresztą. I pisząc jak Rzymianie mogę mieć nadzieję, że gdyby moje dzieci lub wnuki chciały kiedy pokazać te zwoje papirusu jakiemu znakomitemu gościowi z dalszych stron, aby i on mógł poznać dzieje naszej wielkiej wojny o niepodległość Galii – zawsze zostaną zrozumiane.

Rozdział I

SZARA SKAŁA I RZKA BOBRÓW

Pamiętam siebie od wczesnego bardzo dzieciństwa jako zupełnie małego jeszcze pędraka, bawiącego się w piasku na wybrzeżach Rzeki Bobrów, gdzie rozłożyła się wioska mego ojca. Dom nasz, który obecnie synowie moi przebudowali na wzór rzymski, zachowując w nim tylko stosowniejszy dla naszego klimatu dach pochyły i spadzisty, w owej dobie przypominał raczej dużą stodołę o słomianej strzesze.

Mieszkanie składało się z jednej tylko ogromnej sali na dole, która zajmowała całą długość domu, oraz ze znacznie mniejszej izby przybudowanej na piętrze, co na owe czasy stanowiło w naszych stronach wielką jeszcze rzadkość. Ściany tego domostwa były zbudowane z potężnych, z grubsza tylko ociosanych kłód drzewa; szpary pomiędzy nimi pozatykano rznietą słomą, przemieszaną z gliną, olbrzymia zaś strzecha słomiana, najeżona niby sierść zwierzęcia, pokrywała dom niemal całkowicie, zwieszając się nad ścianami tak nisko, że nasi wojownicy dobrze musieli schylać karku, aby wejść przez drzwi do wnętrza. Powierzchnia tej strzechy przedstawiała dziwne nierówności i załamania, gdyż strzecha z jednej strony była wyższa aniżeli z drugiej, w dodatku u szczytu zdobiły ją trzy wysokie żerdzie, wskutek czego z daleka dom nasz z owymi trzema żerdziami, sterczącymi wysoko ponad nim, przypominał mi zawsze olbrzymiego byka o zjeżonej sierści i wygiętym grzbiecie, na którym stoją zadumane trzy długonogie żurawie. Przy tym, ponieważ słomę strzechy umocniono u szczytu ubitą gliną i kawałami darniny, rósł i kwitł tam prawdziwy ogród wiszący z nasianych przez wiatr traw i kwiatów polnych.

Przodkowie nasi mało dbali o symetrię i wygodę, toteż kilka nierównej wielkości otworów, które zastępowały nam okna, wycięto w ścianach domu to wyżej, to niżej, dym zaś z ogniska wychodził w powietrze do góry wprost przez umyślnie pozostawioną w tym celu dziurę w dachu. Co prawda, to, zanim wyszedł, hulał sobie po trosze i po mieszkaniu, wyciskając obecnym łzy z oczu, zwłaszcza służbie pracującej przy ognisku. Podłogę, ubitą z gliny, pokrywały rozrzucone to tu, to ówdzie wiązki słomy, na których siadano za dnia, a na noc, zebrane po kilka razem, służyły za posłanie. Dla znakomitych zaś gości, którzy nocowali u nas, te posłania z wiązek słomy przyrzucano jeszcze puszystą skórą niedźwiedzia, lisią lub wilczą.

Od tej surowej prostoty dziwnie odbijała rozwieszona po ścianach broń wyborna, która świadczyła o zasobności domu i upodobaniu gospodarza w rzemiośle wojennym. Były więc tam miecze z brązu, a nawet najprzedniejsze stalowe, krótkie włócznie do ciskania, długie, ciężkie dzidy, ozdobne tarcze i hełmy.

Pomiędzy tymi rzeczami świeciły tu i ówdzie drogocenne i pięknej roboty naczynia ze złota, srebra lub bursztynu: misy, wazy, kubki lub czary. Te piękne i kosztowne rzeczy pochodziły ze zdobyczy wojennych mego ojca i dziada, i takichże jeszcze skarbów pełna skrzynia dębowa stała w jednym rogu sali, a zawierała nawet pewien zapas monet bitych w złocie, srebrze i brązie.

Mieszkanie mojej matki na piętrze domu było urządzone ze znacznie większą wygodą, ba! nawet zbytkownie. Stało tam duże łóże dębowe i kilka takichże krzeseł, wszystko trwałej ro-

boty, a zdobne płaskorzeźbą; podłogę zaścierał kobierzec wzorzysty, a ściany zasłaniały piękne tkaniny o żywych barwach. Ojciec mój bowiem swą żonę, a moją matkę, niezmiennie szanował i kochał; i cokolwiek tylko mógł zdobyć z rzeczy cennych lub rzadkich, czy to w wyprawach wojennych, czy też przez stosunki handlowe z Paryzami Lutecji, wszystko to przeznaczał dla niej.

Pewnego razu w potyczce z Germanami pomiędzy tłumem wojowników ujrzał męża olbrzymiej postawy, noszącego wspaniały złoty naszyjnik. Pośrodku tego złotego łańcucha tkwił ogromny bursztyn, otoczony dokoła drobniotkami, lecz świecącymi jak małe słońca kamyczkami.

– Jakże pięknie byłoby mej Eponinie w tym naszyjniku!... – pomyślał mój ojciec.

I bez wahania rzucił się z mieczem w dłoni na owego wodza germańskiego. Po krótkiej, lecz zaciętej walce powrócił z naszyjnikiem, głową nieprzyjaciela – i potężnym cięciem przez twarz, po którym głęboka blizna pozostała mu na całe życie.

– Zapytacie może: po co mu była potrzebna ta głowa nieprzyjaciela?... A oto posłuchajcie, bo teraz obyczaj ten już zaniknął.

Strzechę naszego domu zdobiły różne trofea, przede wszystkim myśliwskie, a więc czaszki żubrów, łosi, jeleni, niedźwiedzi, dzików i tym podobne, następnie zaś także czaszki wrogów, zabitych na wyprawach wojennych. Im więcej naczelnik galijski miał na strzesze swego domu tych ozdób, szczególnie czaszek nieprzyjacielskich zatkniętych na kijkach wbitych w słomę, tym większy dlań szacunek odczuwał gość, wchodzący po raz pierwszy do domu, rozumiał bowiem, iż wchodzi pod dach wielkiego wojownika, sławnego z męstwa i czynów orężnych.

Tak więc frontowa część dachów naszych domów stawała się kromką naszych zwycięstw. Lecz pod gołym niebem na strzesze umieszczano tylko czaszki pospolitych wojowników, czaszki zaś wodzów, owinięte w kosztowne tkaniny, składano ze czcig do skrzyni zawierającej najcenniejsze zdobycze wojenne, skąd wydostawano je tylko w dni uroczyste lub w razie odwiedzin jakiegoś znakomitego gościa, przy czym opowiadało się zazwyczaj, w jakich okolicznościach głowa ta została oddzielona od tułowia wroga.

Dom nasz oraz przyległy ogród i podwórze otaczał dokoła żywopłot, poza ogrodem zaś rozciągała się wioska, złożona z szeregu chałup, podobnie wraz z podwórkami i ogrodami okolonych żywopłotem. Niektóre chaty, stanowiące mieszkania wojowników, podobne były do naszego domu, tylko mniejsze; inne zaś, uboższe, należały do rolników, którzy częściowo byli wolnymi ludźmi, częściowo zaś niewolnikami, pochodzącymi przeważnie ze zdobyczy wojennej. Chałupy te były tak niskie, że pokrywająca je słoma spuszczała się prawie do ziemi. Wchodziło się do nich niemal na czworakach. Większość ich była zbudowana z kłód nie ociosanych, zdarzały się jednak między nimi budowle jeszcze pierwotniejsze, na przykład okrągłe jak ule chałupy z trzciny, związanej u góry, z wierzchu zaś pokrytej słomą dla ochrony od chłodu, albo też lepianki z gliny i słomy lub nawet wprost – szalasy z gałęzi, nieraz jeszcze zielonych.

Całą wieś wraz z naszym domem otaczał dookoła wysoki częstokół o ciężkiej dębowej bramie zamykanej na drewnianą zasuwę, co wystarczało, aby nas bronić w dzień od niespodziewanego wtargnięcia. W nocy zaś wsi strzegły nasze psy tak wielkie i złe, że się niewiele różniły od wilków. Dzielily z nimi tę straż nocną nasze wieprze, olbrzymie, wpółdzikie, które chrząc i ryjąc ziemię wałęsały się nocą swobodnie po całej wiosce. Biada nieszczęsnemu złodziejowi, któremu by się udało przedostać przez częstokół!... Psy i wieprze byłyby go natychmiast rozszarpały, a nawet pożarły, tak iż z biedaka nie pozostałoby ani śladu. Rzecz jednak oczywista, wieś nasza znajdowała się głównie pod ochroną bogów.

Najwięcej u nas były czczone boginie Epona i Bobona; pierwsza jako szczególna opiekunka koni, druga – bydła rogatego. Wieśniacy nasi wystawili obu boginiom u dwu przeciwległych krańców wioski coś w rodzaju posągów, czyli właściwie wprost dwa słupki drewniane,

z których jeden miał u szczytu wyciosaną z drzewa głowę konia, drugi zaś takąż głowę byka o dużych rogach. W pewne poświęcone boginiom dni roku pierwotne te figury oblewano krwią ofiar.

Dookoła wzgórza Szarej Skąły rozciągały się olbrzymie lasy, których granic nie znaleźliśmy dokładnie. Szumiały tam wspaniałe dęby i buki, brzozy i smukłe sosny podobne do kolumn świątyń rzymskich. A ponieważ te drzewa rosły niezmiernie blisko jedno od drugiego – wiązały jeszcze je ze sobą zielone sploty bluszczu, jemioly i dzikiego winogrodu – tworzyło więc to taką zwartą masę roślinności, że poza pewnymi udeptanymi już drogami i ścieżkami niepodobna było przedostać się tędy bez topora, w niektórych zaś miejscach nawet promienie słoneczne nie przenikały gęstwiny.

Dalej w tych lasach rozlewały się grząskie bajora i bezdenne trzęsawiska, z wierzchu pokryte złudnie zielenią traw, ponad którą – i to właśnie w miejscach płytszych – sterczały nieraz rosochate rogi uwięzionych tam jeleni.

Niewielu tylko śmiałków odważało się zapuszczać nazbyt daleko w głąb tej puszczy, a nawet psy nasze, które nieraz polowały same na drobniejszą zwierzynę, wracały z tych wycieczek do lasu przerażone jakieś, drżące, z podgiętym ogonem, i cisnęły się skomląc do nóg swych panów. Lecz na całym naszym wzgórzu Szarej Skąły i nawet dalej, w pewnym promieniu dokoła niego, grunt był już wykarczowany, oczyszczony starannie i uprawny dzięki pracy naszych wieśniaków, którzy zasiewali na nim pszenicę, żyto, jęczmień, owies, soczewicę i proso.

U podnóża Szarej Skąły przepływała rzeka, zwana Rzeką Bobrów. Bierze ona początek w południowo-zachodnich górach daleko od nas, niosąc mętne wody do Sekwany pod Lutecją. Była zaś podówczas niezmiernie kapryśna: to zraszała dobroczynnie nasze pola i łąki, płynąc sobie spokojnie w gliniastym łóżysku, to znów niespodzianie wzdymała się gniewnie i z nieoczekiwaną wściekłością tłukła o brzegi, unosząc ze sobą nasze zasiewy, nieraz część stad, a niekiedy i pasterzy. Czasem ni stąd, ni zowąd zmieniała kierunek i w miękkim gruncie przebijając sobie nowe łóżysko, zostawiając nam w zamian straconego w ten sposób obszaru stare łóżysko, które zazwyczaj bardzo prędko porastało trawą i krzakami.

Wieśniacy nasi przypisywali jej namiętności żywej istoty, aby więc ułagodzić ją i przełagać, nieraz sypali w jej nurty nocą przy świetle księżyca ziarna zboża. Nawet ojciec mój podzielał ich poglądy, pamiętam bowiem, że pewnego roku po wielkiej powodzi wyjechał na kilka dni z trzema tylko wiernymi sługami na jakąś tajemniczą wycieczkę w kierunku południowo-zachodnim; dopiero później dowiedziałem się, że składał ofiary u źródeł Rzeki Bobrów, lejąc w jej wody mleko i wino i zabarwiając je krwią zabitego na ofiarę konia, po czym rzucił jeszcze w te zdradliwe fale trzy złote monety, trzy srebrne i trzy brązowe.

Nazwa „Rzeka Bobrów” pochodzi stąd, że mnóstwo bobrów mieszkało istotnie na jej brzegach, zwłaszcza o jakie parę tysięcy kroków za wzgórzem Szarej Skąły, nieco w górę rzeki, gdzie jej wody tworzyły kilka odnóg i wysp. Była tam cała kolonia tych zwierząt w liczbie zapewne kilkuset, zwana przez nas „Miastem Bobrów”.

Podrósłszy o tyle, żem począł wędrować sobie po całym wzgórzu i jego najbliższych okolicach, nieraz zbiegałem ku osadzie bobrów, by się przypatrzeć ich ruchliwemu i pracowitemu życiu.

Z prawdziwą przyjemnością widziałem, jak te rozumne i ładne zwierzątka o wąsatych pyszczkach, mające sierść gęstą i lśniąca, płaski, pokryty łuską ogon, tylne łapy z palcami spiętymi błoną jak u kaczek, przednie zaś opatrzone ostrymi i długimi pazurami – snuły się i krzątały po wybrzeżu i wśród wód rzeki. Silnymi pazurami przednich pięciopalczastych łap wykopywały sobie w ziemi, ale tuż nad wodą, nory lub też budowały z gałęzi domki, doprawdy przypominające niektóre z chat naszych wieśniaków. Najciekawsze było jednak, jak budowały groble. Najpierw niektóre bobry ostrymi zębami ścinały co cieńsze młode drzewka, potem, również zębami, zaostrzały je u dołu, aby je łatwiej było wbić w ziemię, gdy tymcza-

sem inne bobry, nurkując pod wodą, wykopywały tam doły. Następnie przysiadłszy na tylnych łapach, trzymając zaostrome kołki w przednich, wbijały je w dno rzeki, przy czym wywodziły nimi w ten sposób dwie tak prawidłowe linie, równe jak pod sznur, że mógłby im tego pozazdrościć niejeden rzymski inżynier.

Po ukończeniu tej pracy wstępnej bobry zręcznie i szybko – jak wprawni koszykarze – zaplatały giętkimi witkami te dwa rzędy pali, następnie przestrzeń między nimi wypełniały żwirem, piaskiem, kamieniami, kawałkami drzewa, a wreszcie na to wszystko nanosiły sporo miękkiej gliny, którą tak mocno ubijały płaskimi ogonami – przypominając mi przy tej pracy kobiety, co piorą kijankami odzież – że glina stawała się twarda i połyskliwa jak kruszec. Po dokonanej pracy przy budowie grobli miłe te zwierzątka, dumne widocznie ze swego dzieła, poczynęły przebiegać w wesołych podskokach po grobli z jednego końca na drugi i pogwizdując przyglądały się z zadowoleniem swej robocie.

Aby móc podglądać to życie Miasta Bobrów, kładłem się zazwyczaj pośród wysokiej trawy opodal ich osady, mając pod ręką łuk i strzały. Z początku moje przybycie wywoływało w osadzie bobrów wielki popłoch; zwierzęta z pośpiechem nurkowały do rzeki, a trwożliwe ich pogwizdywania płoszyły nawet inne bobry, pracujące daleko na groblach lub na wyspach rzeki. Widocznie jednak były zbyt ciekawe, aby się długo ukrywać, wkrótce bowiem nad ciemnymi falami rzeki, ostrożnie wysuwając się z wody, ukazywały się okrągłe, wąsate główki, które rzucały na mnie spojrzenia pełne nieufności i trwogi i zaraz chowały się pod wodę – aby po chwili się wynurzyć i ukradkiem znów spojrzeć na mnie. Stopniowo miłe te główki poczynęły ukazywać się na powierzchni wody coraz to liczniej, ładnymi, rozumnymi oczami przyglądając mi się coraz dłużej. Aż wreszcie zrozumiałem widać, że im z mego strony nie grozi niebezpieczeństwo, najpierw ostrożnie wysuwały się na brzeg, następnie poczynęły tam chodzić i skakać, a wkrótce brały się znów do przerwanej roboty. Pracowały z takim zapalem, że niektóre spomiędzy nich, zapędzając się po kamieniu lub żwir, przeskakiwały z rozpędu przez moje wyciągnięte na trawie nogi. W końcu nawet samice z małymi wychodziły z nor i chatek na wybrzeże i lekceważąc sobie moją obecność grzały się na słońcu oraz karmiły spokojnie swe młode, przyglądając się pracy mężów i braci. Niekiedy zresztą ni stąd, ni zowąd w osadzie powstawał nagły popłoch. Zazwyczaj jednak nie ja bywałem jego przyczyną, lecz albo zabłąkany jelen, który z wielkim szumem gałęzi wyskakiwał na wybrzeże z lasu, albo przebiegające mimochodem tamtędy stado dzików... Nic jednak nie mogło zniechęcić tych dzielnych zwierząt do pracy. Przeszkadzali im nieraz nieproszeni goście różnego rodzaju lub szalała rzeka, zrywając wszystkie ich groble i tamy, gdy jednak niebezpieczeństwo mijało, czworonożni budowniczy, pogwizdując sobie, natychmiast odważnie wznawiali robotę.

Ludność naszej wioski otaczała to Miasto Bobrów wielkim poszanowaniem, a to tym więcej, że bobry przepowiadały ponoć pogodę oraz powodzie. Ojciec mój twierdził nawet, że oddają nam znaczne usługi, gdyż dzięki tamom i groblom powstrzymują nieco przypływ wód, nie dopuszczając w ten sposób nazbyt nagłych i zbyt silnych powodzi. Nikt też z mieszkańców Szarej Skały nie byłby się ważył zabić bobra. Nasi starzy wieśniacy utrzymywali nawet, że niegdyś dawno, bardzo już dawno, przodkowie ich, mieszkańcy Szarej Skały, żyli wspólnie z bobrami i mówili nawet wspólnym z nimi językiem; z zabobonnym szacunkiem też patrzyli na te małe gryzonie, widząc w nich dusze swych przodków, które wcieliły się w ciała tych zwierząt, albo też uważając ich za swych dalekich krewnych.

Nie wiem, o ile to może być prawdą. Prawdą jest jednak, że nasi sąsiedzi z Lutecji z dawna już nadali mieszkańcom Szarej Skały przydomkowi „Bobrów”, a myśmili się tym nie obrażali wcale, przeciwnie – dumni byliśmy z tego miana! Mój ojciec, dziad i pradziad, jakkolwiek pochodzący z innego plemienia niżli nasi wieśniacy, na swych tarczach i znakach wojennych nosili bobra wyrobionego z brązu, w postawie siedzącej, trzymającego w przednich łapach kołek zaostromy u góry jak dzida. A należy wiedzieć, że nawet imię mego ojca – Beboryks,

nadane mu przez jego ojca, a mego dziada, w starożytnym miejscowym języku oznacza „króla bobrów”. Słowem, nas – Paryzów z Szarej Skały – zwano ogólnie „Bobrami” i „Bobrami” też zostajemy nadal i na zawsze – jeżeli tylko moje wnuki nie poczną się wstydzić swego starego nazwiska i idąc za przykładem innych nie przybiorą jakiego imienia na wzór nazwisk rzymskich.

Rozdział II

MIESZKAŃCY SZAREJ SKAŁY

Ludność Szarej Skały stanowi część plemienia Paryzów, których największa wieś, Lutecja¹, leży na jednej z wysp Sekwany. Plemię to, jakkolwiek, mówiąc bez przechwałki, najznakomitsze ze wszystkich plemion Galii, jest wszakże jednym z najszczuplejszych, zamieszkując bowiem oba brzegi Sekwany oraz wybrzeża rzek: Marny, Oise, Essonny i paru innych mniejszych, zasiedla nie więcej nad dziesięć do dwunastu mil kwadratowych przestrzeni. O swych przodkach wieśniacy nasi opowiadają nader dziwne i zgoła nieprawdopodobne rzeczy. Na przykład, jakoby oni w łodziach z wydrążonych pni drzewnych pływali ongiś po dolinach naszego kraju, które podobno były wówczas rozległymi, głębokimi jeziorami. Wskazują nawet dotąd jakieś otwory w występach skał, wyglądające rzeczywiście jak dzieło rąk ludzkich. Starożytni wojownicy – o ile mamy wierzyć słowom wieśniaków – musieli toczyć walki z jaszczurami stustopowej długości, które połykały wołu jak muchę, ze strasydłami wodnymi o łabędziej szyi i rybiej łusce, ze skrzydlatymi smokami, ze słoniami, znanymi nam z opowiadań, które rzekomo wówczas były porośnięte długim włosem, ba! nawet pospolite niedźwiedzie miały być ponoć tak olbrzymie, że stanąwszy na tylnych łapach głowami sięgały wierzchołków drzew! Psów nie umiano jeszcze układać do polowania, natomiast owi starożytni ludzie osławiali sobie jelenie, na których jeździli i których łanie doili, jak my doimy krowy. Nie znali też jeszcze żelaza, ani nawet brązu, i do walki używali tylko toporków kamiennych.

Lecz owa pierwotna ludność naszego kraju została następnie pokonana przez Celtów i Bolgów i częściowo wyćpiona, częściowo wygnana, częściowo zaś zamieniona w niewolników. Potomkowie ich zapomnieli już swej dawnej mowy i mówią w naszym języku. Musi być w ich bajdach szczypta prawdy, nieraz bowiem przeorując nasze pola znajdujemy w ziemi toporki lub groty z kamienia, a zdarza się, zwłaszcza w miejscach głęboko rozmytych przez wodę, odkopać nawet szkielet jakiegoś olbrzymiego a nie znanego nam potwora. Wieśniacy nasi utrzymują nadto, jakoby w rozciągających się ku zachodowi od Lutecji nieprzebytych puszczach można napotkać jeszcze niekiedy ludzi z tego niemal doszczętnie zaginionego już plemienia, żyjących pomiędzy dzikimi jak oni zwierzętami.

Nie mam najlżejszej wątpliwości, iż to jest prawda, opowiadania te bowiem potwierdza pewne zdarzenie z czasów mego dzieciństwa, którego sam byłem świadkiem. Jeden z wojowników mego ojca, nazwiskiem Dumnak, wraz z nierozłącznym towarzyszem i przyjacielem, którego zwano Arwirag, obaj z rzędu tych zuchwałych śmiałków, co to nie lękają się ni bogów, ni ludzi, ni dzikich i niebezpiecznych zwierząt, postanowili udać się na wyprawę my-

¹ Dzisiejszy Paryż.

śliwską właśnie w głąb tej puszczy zachodniej, by ją nieco zbadać. Cały tydzień nie było ich widać z powrotem, tak iż w Szarej Skale poczęto nawet obawiać się, że zginęli; wreszcie ukazali się znowu na placu przed domem mego ojca, przywożąc jakieś dziwne stworzenie, skrępowane sznurami i przytroczone do siodła Dumna. Dumna odtoczył je i tak bez ceremonii cisnął z góry przed progiem naszego domu, jak gdyby to był jakiś tobół podróżny. Lecz ów tobół począł się zaraz poruszać i dało się żeń słyszeć gniewne mruczenie i dźwięki jakieś – dźwięki ludzkiego głosu... Dumna zeskoczywszy z siodła przeciął myśliwskim nożem sznury krępujące potwora i rzekł:

– Sądzę, że teraz można go już rozwiązać, gdyż od trzech dni nic w ustach nie miał, może więc będzie łagodniejszy... Spytajcie Arwiraga, ile trudu kosztowało jego ujęcie. A i potem niemało sprawiał nam jeszcze kłopotu...

I zrzucając kuba, pokazał szeroką, jakkolwiek niezbyt głęboką ranę na ramieniu, której wszyscy poczęli się ciekawie przypatrywać, nie mogąc zrozumieć, jakim by narzędziem mogła być zadana. Lecz Dumna rozstrzygnął wątpliwości, gdyż wyjął zza pasa jakiś dziwny przedmiot i rzekł:

– Patrzcie, oto jest oręż tego potwora! Doprawdy, szczerze podziękowałem w myśli mej matce za to, że wydała mię na świat z takimi mocnymi kośćmi! A gdybym nie uskoczył natychmiast, nie tylko ramię moje, lecz i głowa nie byłaby cała!

To mówiąc podał memu ojcu podłużny, płaski kamień rzeczny, przypominający kształtem toporek, zaostrzony z jednej strony jak ostrze siekiery, z drugiej zaś zwężony mocno jak gwóźdź ogromny i tym węższym właśnie końcem wetknięty w otwór w jelenim rogu, a przywiązany doń sznurem z łyka.

Kiedyśmy oglądali z zajęciem ów toporek kamienny, człowiek leśny, który dotąd tylko mruczał głucho, porwał się nagle na równe nogi, wydając jakiś groźny, gardłowy, chrapliwy krzyk podobniejszy do krótkiego ryku raczej niżli do głosu człowieka. Dumna skoczył doń natychmiast i pochwycił z tyłu za ramiona; jednakże tylko z pomocą kilku wojowników udało mu się po uporczywej walce pokonać to ryczące wściekle, kłapiące i drapiące stworzenie – tak silne, a zarazem tak zwinne i zręczne, że wywijało się wojownikom z rąk jak wąż, aby wydostać się na swobodę. Byłem małym chłopięciem podówczas, toteż przestraszyłem się ogromnie tego nie znanego mi, dzikiego zwierza i dopiero po dłuższej chwili, gdy odważyłem się wreszcie doń zbliżyć, przekonałem się, iż to jest – człowiek. Wzrostu był raczej niskiego, lecz barczysty, o potężnych mięśniach ud i ramion; całe ciało porośnięte włosami, ręce długie, czoło niskie, nos szeroki i nieco spleśzczony, duże, silne szczęki o grubych wargach przypominały zwierzę drapieżne, a spod lasu gęstych czarnych włosów, spadających mu aż do pasa, świeciły niewielkie czarne oczy o wyrazie okrutnym i zarazem trochę przestraszonym. Lecz ten dziki człowiek miał na sobie jaką taką odzież, a mianowicie coś w rodzaju tuniki ze szczurzych skórek oraz na szyi długi naszyjnik z muszel – może jakiś talizman?... Mię miał posępną i chmurną. Stał nieruchomo, o ile go pozostawiono w spokoju, tylko czasami spoglądał spode łba, ukradkiem, w stronę lasu. Gdy jednak kto doń podchodził i przypatrywał mu się, poczynął zaraz ciskać się i rzucać, szczerząc z wściekłością duże i jak u wilka ostre zęby.

Dumna począł nam opowiadać:

– O trzy dni drogi stąd wśród prawie niedostępnej gęstwiny leśnej spostrześliśmy dużą pieczarę w skale, z której dochodził nas ciężki zaduch. Nic dziwnego – u wejścia bowiem do jaskini leżało kilka na pół odartych z mięsa i na pół rozkładających się trupów zwierząt. Pomimo iż deszcz począł padać właśnie, woleliśmy schronić się raczej pod występ skały niżli wejść do jaskini zamieszkałej – jak sądziliśmy – przez jakiegoś czworonożnego drapieżnika. Raptem z czarnego jej otworu wypadł na nas niespodzianie ten oto dzikus, który na pierwszy rzut oka zrobił na mnie wrażenie nie człowieka, tylko jakiegoś olbrzymiego włochatego kłębka. Odskokczyłem mimo woli. Ten ruch bezwiedny ocalił mię od śmierci, gdyż toporek ka-

mienny, który widzicie, świsnął mi tuż koło głowy i zadrasnąwszy cokolwiek ucho zranił ciężko w ramię. Na szczęście dziki z rozpędu potknął się o korzenie drzewa i rozciągnął jak długi na ziemi, my zaś naturalnie skorzystaliśmy z tego natychmiast i rzuciwszy się nań z dwu stron mimo jego zaciętego oporu pokonaliśmy go i związali sznurami. Możecie teraz osądzić, czy to nam przyszło łatwo! Gdyśmy się jeszcze szamotali, z przeraźliwym krzykiem przemknęła koło nas jakaś podobna do naszego jeńca istota, prawdopodobnie jego godna małżonka, która uciekła z dwojgiem małych w głąb lasu. Weszliśmy następnie do jaskini, aby przy świetle pochodni rozejrzeć się w niej trochę, lecz nic tam nie było godnego uwagi, zadruch zaś panował w niej tak przykry, że pośpieszyliśmy wyjść na świeże powietrze. Należałoby jednak dać mu coś zjeść.

Przy tych słowach Dumnak ostrożnie rozwiązał rękę jeńca.

– Może mu przynieść kawałek pieczonego mięsa? – odezwałem się na to.

– Pieczonego mięsa... jemu?! – roześmiał się Dumnak. – Ależ moje dziecko, ten pan wcale nie jest tak wybredny!... Zobaczysz zaraz.

Mówiąc to odwrócił się i zręcznym ruchem zabił drzewcem dzidy przechadzającego się dumnie po podwórzu koguta, który zabierał się właśnie do wyśpiewania swego triumfalnego: kukuryku! Po czym drgającego jeszcze ptaka podał człowiekowi leśnemu. Ten wyrwał mu go z ręki, zadrasnąwszy ją przy tym trochę swymi długimi paznokciami, i wpił ostre zęby w koguta tak głęboko i chciwie, że aż zatrzęszczały kości ptaka, a pierze posypało się dookoła; parskał też, sapał i fukał przy jedzeniu jak dziki kot, gotów kasać i drapać, gdyby ktoś ośmieilił się wyciągnąć rękę po jego jadło.

Próżne były usiłowania Dumna, aby tego człowieka leśnego oswoić. Co prawda, mniej trochę kasał i drapał, lecz nie spuszczał oczu z lasu. Stojąc przykuty u słupa przed domem Dumna, to z bezsilną wściekłością targał swe więzy, ciskając się i miotając na wszystkie strony, a skakał nieprawdopodobnie wysoko, to znów wpadał w głuchą rozpacz. Nie chciał brać pokarmu i w końcu pewnego dnia sam sobie roztrzaskał głowę o węgiel domu Dumna, dokąd mógł się zbliżyć na swym dość długim łańcuchu. Nikt go nie żałował zresztą. Ojciec mój prosił już nawet przedtem kilkakrotnie Dumna, aby uwolnił wieś od tego „wstrętnego zwierzęcia”, obawiał się bowiem, aby ten dzikus nie uczynił mi jakiej szkody, gdyż lubiłem mu się przyglądać.

Czy ten człowiek urodził się dzikim, czy zdziczał wśród głuchej puszczy pomiędzy zwierzętami?... Tego wam powiedzieć nie umiem. Wracam więc do opisu naszego rodzinnego gniazda, Szarej Skały.

Do ojca mego należały wszystkie ziemie w dolinie Rzeki Bobrów, a nawet trochę przyległych jeszcze, pradziad mój bowiem, pochodzący z plemienia Bolgów, zdobył je zbrojną ręką. Osobnymi wioskami w dolinie rzeki rządziło piętnastu naczelników, którzy wobec tego, że wszystko, co posiadali, otrzymali niegdyś od mych przodków, obowiązani byli stawać w razie potrzeby ojcu memu do pomocy z całą swą siłą zbrojną i walczyć z wspólnymi wrogami pod jego znakiem wojennym. Nazywali go swym starszym bratem, siebie zaś – młodszą bracią; i ustalił się obyczaj, że we wszystkich swych zatargach i sporach obierali go sobie za sędziego. Nawet najbliższa posiadłość mego ojca, czyli Szara Skała, była także obszerna, w górę bowiem rzeki rozciągała się do osady bobrów, w przeciwną zaś stronę sięgała stóp góry Lukotycji, obejmując prócz wioski, gdzieśmy mieszkali, kilkanaście innych, które ojciec mój często objeżdżał, pilnując w nich gospodarstwa.

Uprawą ziemi zajmowali się u nas wolni przeważnie ludzie z klasy rolników, którym ojciec mój dawał sprzężaj, narzędzia do pracy, a w razie nieurodzaju ziarno siewne, w zamian zaś dzielił z nimi plony ich żniwa i przychówek bydła. Wieśniacy ci ojca mego zwali swym ojcem i chętnie pracowali na naszą i własną korzyść na tej wspólnej roli, bardzo zadowoleni, iż oddając naczelnikowi z Szarej Skały część swych plonów, mogą być w zamian pewni jego

opieki na wypadek nieurodzaju lub też najazdu nieprzyjacielskiego, co zdarzało się dość często. Ubierali się prawie tak samo jak mój ojciec i inni naczelnicy z doliny rzeki – to jest w długie wełniane płaszcze w pasy zielone i czerwone lub też w kratę z tychże barw, a do swych czapek przypinali – również jak ich panowie – pióra czaple; toteż człowiekowi z innych okolic dość było spotkać kogokolwiek z naszych, na przykład na targu w Lutecji lub gdzieś, w drodze, aby zaraz powiedzieć sobie:

– A! to jest człowiek z doliny Rzeki Bobrów. – Albo: – A! to jest Bóbr. – Lub: – To jest któregoś z dzieci Beboryksa.

Lecz oprócz ludzi wolnych pracowali u nas na roli niewolnicy pochodzący ze zdobyczy wojennej albo spośród potomków dawnej ludności tego kraju, niekiedy zaś po prostu kupieni przez mego ojca czy dziada od kupców z Lutecji w zamian za zboże, bydło lub trzodę chlewną. Za dobrego rumaka bojowego dawano czterech niewolników. Stanowili więc oni własność naszą, tak samo jak bydło lub konie, powinnością też ich było oddawać panu cały owoc własnej pracy. Lecz ojciec mój obchodził się z nimi tak sprawiedliwie i po ludzku, jak i z wolnymi rolnikami, karmiąc ich w lata nieurodzaju i broniąc od złego obojścia, więc też i oni byli nam szczerze oddani i przychylni, a to tym bardziej, że większość ich od dawna już osiadła na naszych gruntach. Gdym przebiegał mimo chałup naszych wieśniaków – wolnych lub niewolnych – przeprowadzany ich przyjaznymi słowami i spojrzeniami, nieraz słyszałem, jak szeptali pomiędzy sobą:

– Patrzcie, patrzcie, jak pięknym i silnym staje się nasz mały Wenestos! Będzie z czasem zupełnie taki, jak jego ojciec: groźny tylko dla wrogów, a dobry dla swych dzieci, rolników!

W razie wielkiej potrzeby ojciec mój mógł ich wszystkich powołać pod broń – i w takich wypadkach stawiali się bez oporu, gotowi walczyć i umrzeć za niego. Lecz rolnicy tak potrzebni nam byli do uprawy ziemi, że wzywano ich na wojnę niezmiernie rzadko, w wypadkach szczególnie groźnego niebezpieczeństwa tylko, na pospolite zaś wyprawy wojenne udawali się zazwyczaj jedynie wyćwiczeni w sztuce wojennej wojownicy: więc jeźdźcy, którzy mieli prawo do noszenia złotego naszyjnika, a mieli najwyborniejszy, drogi oręż, oraz skromniej już uzbrojeni piesi wojownicy, którzy z uwagi na dłuższe lata służby lub też ze względu na męstwo i zasługi przechodzili nieraz później do klasy jeźdźców. Jedni i drudzy byli, jak to mówiono podówczas, „wiernymi” mego ojca. Wojownicy większą część czasu ćwiczyli się wspólnie z mym ojcem i pod jego kierunkiem w ujeżdżaniu półdzikich koni, ciskaniu włócznią, szermierce mieczem i dzidą, poza tym uczyli się śpiewać pieśni wojenne i poznawać różne prawa wojenne, które należało szanować; tak na przykład prawa heroldów, przyjeżdżających z obozu nieprzyjacielskiego w jakimś poselstwie, a chociażby nawet z wyzwaniem. Każdy z naszych wojowników miał w wiosce swój dom, większość – żony i dzieci, zazwyczaj jednak u schyłku dnia zgromadzali się wszyscy u nas na wieczerzy. Ojciec mój zasiadał na poczesnym, cokolwiek wyższym miejscu za stołem, dalej po obu stronach inni według zasług i starszeństwa; siedząc na wiążkach słomy raczyli się mięsem łośi, jeleni, dzików, a także zwierząt domowych: wołów, baranów i świń. Najdzielniejsi a najmężniejsi otrzymywali od mego ojca najlepsze kaski. Popijano zaś mięsiwo sikera² i miodem, a w uroczystości nieraz nawet drogim winem italskim, przy czym uczutowano tak częstokroć do późna w noc. Ojciec mój mawiał, że obfitość mięsa i dobre wino rozwijają odwagę i przytomność umysłu, toteż nie żałował niczego dla swych towarzyszy broni. Gdy raz jeden z wojowników zauważył żartem, że mają u stołu wodza drewniane łyżki jak wieśniacy, ojciec natychmiast pchnął posłańca do Lutecji, aby zamówić u tamecznych złotników łyżki złote dla jeźdźców, dla pieszych zaś wojowników srebrne i – ofiarując im je, gdy były już gotowe, rzekł półżartem:

– Takich dzielnych wojów, jak wy, nie kupię za złoto ani za srebro!... Z wami zaś zdobędę srebra i złota, ile zechcę...

² Rodzaj piwa, które starożytni Galowie wyrabiali z jęczmienia.

Wiedział zaś w rzeczy samej wybornie, że ludzie ci są gotowi iść za nim w ogień i wodę, a w najgorętszym zamęcie bitwy, w najgroźniejszym niebezpieczeństwie, nie odstąpią go na krok; gdyby zaś poległ, ani jeden spośród nich nie byłby pozostał przy życiu. Byli oni towarzyszami jego zabaw i uczt, jego wypraw łowieckich i wojennych i „wiernymi” mu – naprawdę – na śmierć i życie.

W ten sposób mój ojciec karmił codziennie przy swoim stole trzydziestu wojowników: dziesięciu jezdnych i dwudziestu pieszych. Co wieczór w owej ogromnej sali na dole ustawiano niski a długi stół złożony z paru z grubsza ociosanych desek wspartych na kozłach, salę oświetlano jasno pochodniami i biesiadnicy zasiadali na wiązkach słomy do uczyty, rozweselanemu przy niej nie tylko sikiem i miodem, lecz nadto pieśniami naszego ślepego barda Wandila, który przy dźwiękach harfy opiewał bohaterskie czyny mych przodków lub opowiadał różne legendy z dziejów Galii i Wysp Brytańskich. Stół biesiadny mego ojca wydłużał się jeszcze, gdy odwiedzał nas któryś z sąsiadów lub z obywateli Lutecji, albo podróżny czy kupiec przejezdny, którym nie odmawiano nigdy gościnności i noclegu. Wówczas miód i sika lały się jeszcze obficie, harfa starego Wandila dźwięczała jeszcze rozgłośniej, a nieraz przyłączały się do niej harfy innych bardów, okoliczni bowiem bardowie znając wspaniałomyślną hojność mego ojca garnęli się do nas tak chętnie, jak muchy do miodu. Ojciec mój żył więc tak, jak gdyby król pomiędzy swymi wiernymi poddanymi. Sława jego męstwa a gościnności rozchodziła się daleko po Galii, głoszona przez bardów, którzy śpiewali o nim, iż złoto, tworzące się rzekomo z kurzu ziemi pod każdym uderzeniem kopyt jego konia, lało mu się z rąk kaskadami; że dom jego był domem zaczarowanym, gdyż ściany jego rozsuwały się w miarę, jak przybywało gości; że z piwnic nigdy nie ubywało sikery, miodów i wina; ba! że dość mu było nawet cisnąć ogryzioną kość wieprzową w chlewy Szarej Skały, aby zeń powstał zaraz żywy wieprz – tak, jak się to działo podobno w jakimś zaczarowanym zamku brytańskim, gdzie także porżnięte i zjedzone woły, barany i wieprze rzekomo znów powstawały do życia ze swych kości.

Wybaczymy jednakże bardom tę skłonność do przesady i upiększania prawdy, dzięki nim bowiem żyją w pamięci ludzkiej wspomnienia sławnych czynów, męstwa i cnót wielkich bohaterów.

Rozdział III

BEBORYKS I EPONINA

Jako małe dziecko, nie brałem udziału w tych ucztach; nie wolno mi było nawet podczas nich wchodzić do sali. Ojciec mój nie pieścił mnie wcale i publicznie – to znaczy na ulicach naszej wioski i na placu przed domem – nigdy nawet nie zwracał się do mnie. Taki był bowiem obyczaj dawnych Galów; i wojownik byłby się wstydził okazać kobiecą tkliwość względem swych dzieci. Pomimo tę pozorną obojętność czułem, iż ojciec mój kocha mnie bardzo, jakkolwiek jego wyniosła, pełna powagi postać wzbudzała we mnie pewną obawę. Wzrostu był wysokiego, cerę miał jasną i świeżą, oczy jasnoszare jak stal, a wesołe i bystre, włosy długie i wasy barwy miedzi, ubierał się zaś zwykle w niebieską wełnianą tunikę bez rękawów i szerokie czerwone spodnie przewiązane u stóp pozłaczanymi rzemykami, a na to wszystko zarzucał obszerny płaszcz z tkaniny wełnianej, niezmiernie wygodny zarówno w domu, jak w podróży, który można było zarzucić sobie czy to na jedno ramię, czy też na drugie, zapiąć na klamrę pod szyją lub też zawinąć w kształcie szarfy i obwiązać się nim, na przykład podczas bitwy, czy wreszcie złożyć go w kilkoro i podłożyć sobie na siodło. W stroju wojennym ojciec mój wyglądał wspaniale. Wkładał naówczas długie buty ze skóry rudawożółtej opatrzone brązowymi ostrogami, bardzo szeroki, zastępujący nam, Galom, poniekąd zbroję, pas – również z brązu, od którego na rzemykach zwieszały się z przodu płytki brązowe dla ochrony żołądka od ciosów. Na lewym ramieniu nosił niedużą owalną tarczę splecioną z łoży, pomalowaną i wstawioną w kutą brązową obręcz, a wzmocnioną nadto takimże brązowym, krzyżem z małą figurką bobra u szczytu. U boku zwisał mu krótki miecz iberyjski z najwyborniejszej stali, z rękojeścią z kości słoniowej, rzeźbioną w kształt lwiej głowy. W prawej ręce trzymał dzidę o długim grocie. Głowę pokrywał hełm, co prawda z brązu, ale obłożony całym cienkimi blaszkami złota, a zakończony, zwyczajem galijskim, wysokim rżniętym grzebieniem, u którego szczytu powiewały szumnie pióra czaple, z obu stron zaś wznosiły się rozpostarte szeroko dwa skrzydła orle. Błyszczący w promieniach słońca naszyjnik ze złotych blaszek oraz złote bransolety na ramionach i u przegubu ręki dopełniały tego świetnego stroju. Ojciec, odziany weń, wydawał mi się samym bogiem wojny, zwłaszcza gdy go widział w tym stroju wojennym, harczącego na wspaniałym rumaku bojowym, który się wspinał i rzucał pod nim.

Na wyprawę wojenną jechało za nim dziesięciu jeźdźców, z których jeden piastował w ręku drzewce jego znaku wojennego, a wszyscy mieli złote naszyjniki i czaple pióra u hełmów. Za nimi postępowało dwudziestu pieszych wojowników, trzymając wysoko do góry dzidy, które tworzyły jak gdyby las nad ich głowami; hełmy ich zdobiły jelenie, bycze i baranie rogi, niektórzy zaś nosili czapki zastępujące im hełmy, a zrobione wprost z głów wilków, dzików i niedźwiedzi. Zdawało się, że ci groźni wojownicy mogą podbić chyba świat cały!... Wyglądali tak dzielnie i pięknie, że matka moja, która patrzyła zwykle na ich odjazd z okna swego mieszkania na piętrze, uśmiechała się nawet przez łzy. Czasami spojrzenie ojca padało na mnie, gdym stał przy drodze i przyglądał im się szeroko otwartymi oczyma; zwracał się więc wówczas do mnie, ale to zupełnie tak, jak gdyby do jakiegoś obcego dziecka, mówiąc obojętnie:

– Odejdź stąd, chłopcze, bo możemy cię stratować!

Zmartwiony tym chłodem ojca, pocieszałem się w objęciach matki, która darzyła mnie niezmierną i jawną tkliwością. Nawet gdym był sporym już chłopaczkiem, nieraz porywała mnie na ręce jak małe dziecko i nosiła po pokoju tam i z powrotem, pieszcząc mnie, całując, bawiąc się mną a podrzucając mnie do góry – albo też sadzała mnie na kolanach i obsypywała pieszczotami, pocałunkami, a niekiedy oblewała łzami, niezrozumiałymi zgoła dla mnie podówczas. Spędzałem też w jej mieszkaniu na piętrze nieraz długie godziny, zwłaszcza gdy ojca nie było w domu; i niekiedy – jeśli matka nie mając pilnego zajęcia pozwalała mi na to – bawiłem się przystrajając ją w powyciągane przeze mnie ze skrzyń drogie, o pięknych żywych barwach tkaniny, w różne cenne klejnoty oraz wtykając kwiaty polne w jej jasne niby promienie słoneczne włosy, a następnie śmiałem się i skakałem z radości widząc, jak w tym wszystkim była piękna!...

Bo matka moja w rzeczy samej była bardzo piękna. Jej bogate jasnoblond włosy były tak gęste i długie, że gdy je rozpuściła, to okrywały ją całą aż do ziemi niby płaszczem złocistym; oczy miała duże a błękitne jak niebo w dzień pogodny, o wyrazie łagodnym i marzycielskim, małe usta i cerę białą a delikatną. Żona, córka i siostra dzielnych wojowników, wcale nie brała za złe memu ojcu, że opuszcza ją tak często, wyjeżdżając to na wyprawy wojenne, to na równie prawie niebezpieczne wyprawy łowieckie na grubego zwierza, to wreszcie na uczty do naczelników z sąsiedztwa. Ale że czasami smutno jej było samej, więc poświęcała mi wówczas więcej jeszcze czasu niż zwykle.

Ubrana w czasie nieobecności męża w ciemne szaty bez żadnych ozdób, z włosami posypanymi białym, dobrze przesianym popiołem, lubiła mi opowiadać różne legendy i podania o bogach. A więc o Heolu czyli Belenusie, bogu słońca zsyłającym nam na ziemię dobroczynne światło i ciepło, i siostrze jego, Belizanie, która oświeca nam noce dając łzy rosy, urodzaj roślin i przyrost bydła, a jest przy tym łagodną boginią, nie wymaga bowiem żadnych krwawych ofiar, tylko obiady z mleka. Dalej opowiadała o Teutatesie, ponurym i groźnym bogu, którego czczą i obawiają się powszechnie we wszystkich krajach Celtyki, bo dusze zmarłych prowadzi po śmierci w swe straszne państwo podziemne; mówiła jeszcze o miotającym błyskawicami i piorunami Tarannusie i Ezusie, grozie i gospodarzu głuchych lasów. Matka zniżala głos prawiąc mi o tych trzech bogach, gdyż były to bóstwa straszliwe, których gniew można przebłagać tylko obiata z krwi ludzkiej. Z westchnieniem opowiadała mi o Kamulu, bogu wojny, który się kocha w zgiełku bitw i szczęku oręża; z uśmiechem zaś o różnych pomniejszych bóstwach, przeważnie dobrych, które zamieszkują rzeki, jeziora i lasy, gdzie chowają się czasem za korę drzew. Wskutek ich obecności z drzew rąbanych niekiedy łzy płyną i rozlegają się jęki. Uczyła mnie także modlitw do bogów, które posłusznie powtarzałem za nią, dziwiąc się w duchu, że mówi w jakimś zaledwie zrozumiałym dla mnie języku. Czasem, jak gdyby zapominając o mej obecności, zastanawiała się nad tym; kto stworzył bogów i cały świat, skądśmy się tu wzięli na nim i dokąd pójdziemy po śmierci, co będzie w państwie podziemnym Teutatesa, a co w kręgu szczęśliwości, czy nie można by wiedzieć, czy w nim znajdzie się razem z mężem i dzieckiem?...

Będąc bardzo pobożną, nieraz pościła surowo, odprawiała długie modły i rozzuwszy lewą nogę składała bogom ofiary i obiady najpierw u domowego ogniska, następnie na wybrzeżu naszej rzeki, a wreszcie na skraju puszczy, gdzie kazała zawieszać na najstarsze dęby czy to jakąś tkaninę, czy welon, a czasem nawet i klejnot. Wyjeżdżała z domu zazwyczaj tylko dla składania tych ofiar, cała okryta cienką, lecz dość gęstą zasłoną pokrywającą jej czoło i nawet trochę oczy, na łagodnym koniu, którego dosiadała bokiem, opierając się nogami o przywieszoną u siodła w miejscu strzemięcia małą deseczkę. Niekiedy zaś zapominała trochę o bogach i gdy następował u niej okres takiego zubożenia, zdarzało się, że nawet służebnice nasze musiały jej przypominać, iż w letnie przesilenie dnia z nocą trzeba rozpaścić ognisko na pagórku, w dzień zaś zimowego przesilenia – przynieść do domu choinkę i ustroić ją w skrawki barwnych tkanin i płonące pochodnie, aby ucieszyć tym dusze zmarłych przodków.

Dnia tego, poświęconego czci zmarłych, gaszono też u nas ognisko, rozpalano zaś je ponownie nazajutrz o świcie ogniem przyniesionym ze szczytu góry Lukotycji od ołtarza bogini Belizany.

Pamiętam, jak pewnego razu w czasie nieobecności mego ojca przyjechał na mule do Szarej Skały jakiś sędziwy starzec w długiej, czarnej szacie, z białymi jak śnieg, lecz gęstymi, rozsypującymi mu się po plecach, długimi włosami, z obnażoną szyją i ramionami, w sandałach, związanych prostymi rzemykami. Nie zdobiły go kosztowności, ani też nie miał zgoła oręża. Lecz na jego wyniosłym czole, w mądrych a przenikliwie i surowo patrzących spod nawisłych brwi oczach, w szlachetnej postawie tyle było powagi i dziwnego majestatu, że doprawdy wyglądał na coś wyższego nad wojownika, nad wodza, ba – króla nawet. Nasza ludność wieśniacza na jego widok pośpiesznie wychodziła z chat i padała przed nim płackiem, starając się w tej pozycji podpełznąć jak najbliżej ku niemu, aby pocałować kraj jego szaty, a przynajmniej dotknąć się chociaż sierści jego muła. I wojownicy nasi powychodzili również ze swych domów i stojąc przed nimi kłaniali się staremu druidowi nisko a ze czcią, w której się dawało odczuć trochę obawy.

Matka moja także wyszła na jego powitanie przed dom. A gdy stanął przed nią, przyklęka i pochyliwszy z pokorą głowę skrzyżowała ręce na piersi. Starzec położył na jej głowie obie dłonie i wzniosłszy wzrok ku niebu wypowiedział kilka słów w jakimś niezrozumiałym dla mnie języku. Potem podniósł ją z klęcek, wszedł do domu, sam usiadł na miejscu poczesnym i skinieniem ręki oddaliwszy wszystkich obecnych długo sam na sam z nią rozmawiał. Gdy wyjeżdżał, matka odprowadziła go przed dom i na pożegnanie znów padła przed nim na kolana pochylając głowę niżej jeszcze niż przedtem, lecz jej twarz miała teraz wyraz takiej pogody, takiego rozradowania wewnętrznego, jakiegom nie widział na niej dotąd nigdy. Orszak naszych wojowników towarzyszył druidowi w jego powrotnej drodze, za nimi zaś postępowali wieśniacy, prowadząc konie obładowane zarzniętymi baranami i kurami.

Druid ten przyjeżdżał do nas niekiedy potem i ojciec mój, o ile był w domu, okazywał mu takąż głęboką cześć jak wszyscy. Gdy pozostawał na rozmowie z matką, ojciec nie wchodził nawet wcale do domu; gdy wyjeżdżał – przyoblekał się w swój paradny strój bojowy i sam jechał konno na czele towarzyszącego druidowi orszaku, postępujące zaś za nim konie obładowywano na jego rozkaz hojniejszymi jeszcze darami.

Pewnego razu po wyjeździe druida matka kazała zawołać mnie do siebie i gdyśmy pozostali sami, ucałowała mnie z większą jeszcze tkliwością niż zwykle, następnie zaś rzekła do mnie:

– Posłuchaj mię, synu, i staraj się dobrze zapamiętać, co ci teraz powiem. Ten czcigodny starzec, tak święty i taki mądry, potwierdził mi tylko to, co przeczuwałam już sama nieraz. Istnieje tylko jeden Bóg najwyższy, który zawiera w sobie wszystkie bogi i który stworzył wszystko, sam zaś nie ma początku ani końca. Aby stać się dla nas zrozumiałym, przyjmuje on na siebie postacie Belenusa i Belizany, Teutatesa, Tarannusa, Ezusa i Kamula. Jeśli więc kiedy będziesz zanosił modły do którego z tych bóstw, módl się tak, aby modlitwa twoja godna była dosięgnąć Tego, w którym się zawierają one wszystkie. Bądź sprawiedliwym! Bądź mężnym! Bo wieczne szczęście czeka dobrych, a otchłań mroków – złych. I kochaj matkę tak, jak ona cię kocha. U nóg matki wysłużyć można prawo wejścia pomiędzy błogosławionych tak samo, jak i w ogniu bitwy.

Źle jeszcze wówczas rozumiałem te słowa matczyne, zapadły mi one jednak głęboko w duszę i nieraz później przypominały się w życiu. W owej wiosnianej wszakże dobie mego życia starałem się zazwyczaj uwolnić tylko co prędzej od podobnych rozmów, aby lecieć do mych rówieśników z wioski. Bawiliśmy się społem wybornie, bez różnicy stanu, synowie jeźdźców, pieszych wojowników i wieśniaków – i to najczęściej w wojnę. Kupa śmieci w kacie podwórza wyobrażała *oppidum* (miasto obronne), które zdobyć było zadaniem jednej partii, kiedy druga, broniąca go, zasypywała nieprzyjaciela gradem pocisków. Te składały się

zazwyczaj z szyszek, lecz w zapale bitwy porywało się nieraz z ziemi i drobne nawet kamyki, toteż wielu z nas wynosiło z takiej zabawy guzy, sińce oraz porwaną odzież. Gdym powracał do domu po zabawie ociekający potem, a niekiedy i krwią nawet, zabłocony, oberwany, lecz dumny, żem zwycięsko odparł atak nieprzyjacielski na *oppidum*, lub też żem je zdobył zwycięstwem, matka niepokoiła się o mnie i czasem nawet robiła mi wymówki za zniszczoną odzież. Lecz ojciec z niezwykłą mu pobłażliwą czułością spoglądał wówczas na mnie.

– Daj mu pokój! – mówił do żony – nie łaj go... I ja w jego wieku nie małem i walałem odzieży. On mi obiecuje stać się z czasem dzielnym wojownikiem, a to najważniejsze!...

Rozdział IV

BARD

Szukałem też niekiedy rozrywki w towarzystwie ślepego barda Wandila. W niepogodę siadywał on zazwyczaj w naszej sali na dole przy ognisku, w piękne zaś dni zawsze mogłem być pewien, że go znajdę na dużym kamieniu pod dębem, stojącym samotnie nieco opodal od wioski. Stary Wandilo wygrzewał się tam w promieniach słońca i trzymając swą nierozłączną towarzyszkę – harfę na kolanie, a przebiegając od niechcenia palcami po jej strunach, śpiewał sam sobie półgłosem. Kochał mnie jak rodzonego syna, czcząc we mnie zarazem potomka krwi królewskiej, witał mnie zawsze przyjaźnie, poznając już nawet po odgłosie kroków, i chętnie śpiewał dla mnie różne stare legendy. Siadywałem zwykle przed nim w kucki na trawie z łokciami na kolanach, brodą wspartą na dłoni i nie spuszczać wzroku z jego niewidomych oczu słuchałem śpiewu.

Najbardziej mi się podobała legenda o mym dalekim przodku, Hu-Gadarnie. Wandilo śpiewał, jak Hu-Gadarn królował z początku w jakimś rozległym kraju na północy, gdzie w przeciągu blisko sześciu miesięcy było jasno jak w dzień, podczas zaś następnych sześciu ustawicznie prawie panował mrok. Naród jego dzielny był i możny, lecz pewnego razu olbrzymy morskie wypowiedziały mu wojnę i nasłały na jego państwo wojsko groźnie spiętrzonych bałwanów morskich. Przez trzy miesiące Hu-Gadarn wojował z tymi górami wody i tam, gdzie błyskał jego straszliwy miecz, fale cofały się z przerażeniem. Krew ludzi i owych olbrzymów morskich lała się strumieniami; morze to wzdymało się groźnie, zalewało brzegi, to się cofało, lecz zwycięstwo nie przechylało się stanowczo ani na jedną, ani na drugą stronę. Aż wreszcie bogowie morscy, którym ciągle burze przeszkadzały ucztować w ich podwodnych pałacach z koralu, oraz bogowie niebiescy – niezadowoleni, iż niebo pokryte jest wciąż chmurami, zebrali się na radę i postanowili wdać się w tę sprawę. W rezultacie tej rady bogów rozbłysnął nagle na niebie świetny siedmiobarwny łuk tęczy, na nim zaś ukazali się nieśmiertelni: bogowie w złotych hełmach i zbrojach oraz boginie w śnieżnobiałych zasłonach, usianych gwiazdami. Ojciec nieśmiertelnych ruchem rozkazującym wyciągnął rękę – i heroje musieli zaprzestać walki. Palmę zwycięstwa przysądził Hu-Gadarnowi, lecz kazał mu opuścić ten kraj i iść dalej na zachód, wciąż na zachód, gdzie miał znaleźć pole do nowych bohaterskich czynów i dalszych zwycięstw. Hu-Gadarn natychmiast wyruszył w drogę wraz z

całym swoim ludem, wojownikami, kobietami i dziećmi, z wozami wojennymi, opatrzonymi z obu stron w ostre kosy, z procami olbrzymich rozmiarów, z których można było zabić od razu setkę ludzi, ze wszystkimi swymi stadami i całym dobytkiem. Szli długie miesiące kierując się wciąż na zachód, a po drodze zwyciężając olbrzymów i smoki oraz podbijając różne wrogie narody. Rozlewny Ren o spienionych nurtach przegrodził im drogę. Lecz Hu-Gadarn wsparł się tylko mocno na swej dzidzie i jednym potężnym susem przeskoczył na drugą stronę, potem zaś z przeciwległego brzegu przerzucił przez rzekę swój miecz, po którym, jakby po moście, przeszli jego wojownicy, przejechały wozy i przepędzono stada. Następnie przed wędrowcami wzniosł się groźnie łańcuch gór wysokich; lecz Hu pochwycił ręką jedną górę, drugą zaś ręką górę sąsiednią i z taką mocą pchnął je w dwie przeciwne strony, że się pomiędzy górami utworzyło szerokie przejście. Na dźwięk jego rogu spadały same z zawias bramy miast obronnych, mury rozpadały się, a zastępujące im drogę wojska nieprzyjacielskie rozprasały się przed nim we wszystkie strony, jak liście jesienne rozpraszają się pod tchnieniem burzy. Spieniane, gniewnie szumiące morze chciało wreszcie zatrzymać pochód Niezwyciężonego. Lecz Hu ciął po nim potężnie mieczem i pomiędzy przerażonymi falami, które się cofnęły i rozstały, utworzyła się droga, którą wędrowcy przeszli na Wyspę Brytańską pomiędzy dwiema ścianami wodnymi, wysokimi na trzysta stóp, spoza których przyglądały im się różne potwory morskie.

W ten sposób Hu-Gadarn osiedlił swój naród częściowo na wyspie, którą obecnie zowią Pryden albo Brytanią, wówczas zaś zwano Wyspą Miodową, częściowo zaś w Galii. Nadał swemu ludowi mądre prawa nauczył go pracować na roli za pomocą sochy i brony, na koniec pozostawiając w różnych krajach mnogich synów królami udał się – tym razem już sam jeden – znów dalej na zachód, idąc po falach oceanu tak swobodnie, jak gdyby szedł po zżętych polu. Doszedłszy krańców horyzontu począł schodzić z wolna na drugą stronę – i w blaskach zachodzącego słońca skrył się tam w krainie nieznanej, skąd już nie wrócił.

Wandilo przestał śpiewać, ale srebrne dźwięki strun jego harfy, trącanych z lekka palcami, drżały jeszcze chwilę w powietrzu, cichnąc z wolna jak głos kogoś, kto odchodzi od nas hen daleko!...

– Jakież to piękne! – wołałem prawie ze łzami w oczach. – Jak piękne!

I myślałem sobie w duszy, że jednak chyba nigdy, nigdy nie potrafię dorównać temu przodkowi. Rozerwać łańcuch gór, przesadzić jednym skokiem Ren... Wszystko, czego dokonał, zdawało mi się tak strasznie trudne! Zresztą, gdy dorosnę, to jeszcze zobaczmy!...

– Czemu nie śpiewasz dalej, Wandilo? – zapytałem po chwili. – Czybyś nie chciał mi zaśpiewać o Brennusi w Grecji i Rzymie?

I harfa ślepego barda poczyniała dźwięczeć znowu. Lecz nie była to, jak przed chwilą, pieśń pełna uroczystej, niemal religijnej powagi, jeno dźwięki w rytmie niecierpliwym, śpiesznym, wojowniczym. Słysząc w nich były kolejno to krok mierzony pieszego wojska, to galop jeźdźców, to szczęk oręża i uderzenia ciężkimi tarczami o mury, to znów triumfalne fanfary zwycięstwa. Stary bard opiewał bowiem teraz zwycięski pochód Galów, których niezliczone zastępy, podobne wzburzonym potokom górskim na wiosnę, spływają ze skalnych szczytów i przejść Alp w żyzne doliny Italii. Oto przechodzą rzekę Po, przechodzą Arno; przed nimi lecą skowronki, wskazując im drogę poprzez wąwozy górskie, lasy i doliny; łanie służą im za przewodników przy przejściach przez brody rzeczne; lasy rzedną przed nimi, a wody w rzekach i jeziorach rozstępują się. Galowie, dmąc w bycze rogi, dumnie przechodzą miasta etruskie mijając portyki wspaniałych świątyń i pałaców, gdzie stojące między kolumnami posągi bogów o oczach z emalii, o kędzierzawych, ufryzowanych włosach i brodach z niemym zdumieniem spoglądają na mijających ich zwycięzców. Okrzyki wojenne Galów i odgłosy ich uderzeń drzewcami dzid o tarcze z brązu napęniają przerażeniem doliny Italii. Galowie przechodzą je po stosach trupów łamiąc linie zakutych w żelazo wojowników, którymi Rzymianie usiłują im zagrozić drogę.

Oto przed nimi skała Kapitolu z olbrzymim posągiem boga, który siedząc na złotym tronie w lewej dłoni trzyma orła, prawą zaś dzierży pioruny. Tu i ówdzie po murach miasta biegają jak mrówki w popłochu przerażeni wojownicy, spoza murów zaś słyszać zawodzenia i szlochy niewiast i dzieci. Bramy miasta otwarte, a nad miastem unosi się bladolica Rozpacz. Wzdłuż ulic drzwi pałaców także stoją otworem i w głębi, na posadzkach wyłożonych płytami marmuru widać posągi podobne do ludzi oraz ludzi podobnych do posągów. Mają długie białe brody, białe włosy i gęste białe brwi nad nieruchomymi oczami; białe są trony z marmuru, na których siedzą, białe także małe alabastrowe stołeczki, na których spoczywają ich stopy obute w purpurowe sandały – i każdy z nich w prawej dłoni trzyma białe jak śnieg berło z kości słoniowej³. Królowie to czy bogi? Wykuci z marmuru czy żywi?

Czarodziejska harfa Wandila śmieje się szyderczym a srebrzystym śmiechem, gdy bard opowiada, jak zuchwała dłoń Gala pociąga za jedną z tych bród, aby się przekonać: ludzieli to czy posągi? Struny jej zaś drżą z lekka przy opowieści, jak zabijają tych ludzi–bogów, jak padają w gruzy wyniosłe pałace i świątynie, oddane płomieniom na pastwę, jak wznoszą się całe góry trupów. Lecz za chwilę znowu śmieją się srebrzyście, gdy stary bard opowiada o gęsiach, które przeraźliwym krzykiem rozbudziły straż rzymską przeszkodziwszy w ten sposób Galom wdrzeć się pod osłoną nocy na Kapitol. Potem staremu harfiarzowi aż głos drży i rwie się z rozpierającej mu piersi dumy i dzikiego zachwyty, gdy opowiada, jak przed wojownikami Galami patrycjusze rzymscy pochylają nisko dumne głowy, ofiarując im złoto za ocalenie swego Kapitolu, złoto – w zamian za życie, złoto – jako wykup za swe matrony i dziewice. I złoto z cichym, dźwięcznym brzękiem sypie się wciąż a wciąż na szalę wag olbrzymich. Złoto, złoto, złoto!... Złoto w monecie, w bryłach, w kunsztownych, cudnej roboty naczyniach. Złoto, złoto... Jeszcze! I jeszcze! I jeszcze!... Bo zwycięski Brennus na drugą szalę rzucił swój miecz olbrzymi z brązu – tak ciężki, że sześciu Rzymian nie mogło go udźwignąć. Więc wznoszący się na szali coraz wyżej stos złota zwiększa się jeszcze oplakiwanymi gorzko przez kobiety ich klejnotami, potem idą nań medale, pierścienie i ostrogi wojowników, ba! nawet zhańbione brutalnymi ciosami topora posągi bogów muszą oddać swe złoto i klejnoty...

– Złota!... Więcej złota!... – woła Brennus.

Lecz Rzym, wspaniały, bogaty Rzym, nie ma już złota...

– Jeśli więc nie macie już złota – woła Brennus z szyderczym śmiechem – to nie potrzeba wam także żelaza, aby bronić miasta, ani bram, aby je ochraniać!

I nastąpiwszy nogą złożone na ziemi sztandary rzymskie każe Rzymianom rzucać tam miecze, dzidy, zbroje i hełmy. Góra żelaza wznosi się obok góry złota. Nigdy już płatnerze rzymscy nie będą na swych kowadłach kuli mieczów: Rzym złożył na to przysięgę. Z murów miasta Brennus każe zerwać brązowe wrota: nigdy już nie będą chodziły na zawiasach i zamykały miasta: Rzym złożył na to przysięgę. Gal będzie mógł wchodzić do miasta i wychodzić zeń, kiedy mu się podoba. Gdy zechce, stanie w Rzymie jako zwycięzca, by obejrzyć prace swych niewolników i wziąć należną sobie daninę od dzieci Wilczycy: Rzym złożył na to przysięgę.

Wojsko Galów objuczywszy zdobyczą muły całej Italii wraca w domowe pielesze do lepiarek z gliny i słomy, które teraz nawet ostatni z żołnierzy może sobie przybrać po królewsku. Gdy zaś znacznie później Rzymianie będą opowiadali, że ich wielki Kamillus nadbiegł rzekomo z odsieczą i odebrał „barbarzyńcom” sztandary swej armii i daninę swego narodu, to Galia roześmieje się tak szyderczo i głośno, że ten śmiech rozlegnie się nie tylko po wszystkich krajach galijskich, lecz i w wąwozach Alp i Apenin i ponad Po, nad Arno, pod Rzymem i nad Tuluskim Jeziozem wreszcie, w którego wodach, poświęconych bogom Celtyki, spoczywają te bryły złota, z których niegdyś były zrobione posągi bogów rzymskich.

³ Senatorowie rzymscy, których Galowie, wedle podania, wzięli za posągi.

Dalej Wandilo opiewał bohaterskie czyny innych wojowników galijskich, którzy w zwycięskim pochodzie zdeptali ziemie Grecji i nawet Azji – jak pod piorunami i błyskawicami rozgniewanego boga greckiego wdarli się na skałę Delf, jak drżał przed nimi Akropol, przedtem podobnie jak Kapitol rzymski, jak obrabowali greckiego Apollona w taki sposób, jak to uczynili bracia ich z Jowiszem Rzymian; jak złamali szeregi falang greckich i zmusili do ucieczki jeźdźców; jak wstrzymali śmiercionośny pęd wozów zbrojnych w kosy, zwyciężyli królów wschodnich dumnie paradyjących na grzbietach słoni, roznosząc sławę imienia Galów aż do szczytów Kaukazu, ba! nawet aż do lodowców niebotycznych gór Hindustanu!

Słuchając tych pieśni, pogrążałem się w zadumę. Niekiedy jednak wywoływały one we mnie takie podniecenie, że po prostu nie mogłem usiedzieć na miejscu: twarz mię paliła gorącym rumieńcem, oczy pałały, ręce i nogi drżały z niecierpliwości. Zdawało mi się, że to ja sam biorę udział w tych pełnych sławy wyprawach wojennych, że to ja ciosami mego miecza rozbijam hełmy rzymskie i greckie, że przede mną uciekają w popłochu patrycyjczyści i królowie Hellady i Wschodu, że to ja wdrapałem się na skałę Kapitolu, brałem szturmem Akropol i że na moje skinienie lały się rzeki krwi i złota.

– Dość! Dość! – wołałem wówczas w uniesieniu. – Nie śpiewaj więcej, Wandilo! Poczekaj, daj mi urosnąć!

I opuszczając nagle ślepego barda biegłem do wojowników mego ojca, z którymi na ogół byłem w wielkiej przyjaźni, i cały rozgorączkowany krzychałem im:

– Nauczcie mnie nareszcie władać mieczem i dzidą! Nie jestem już dzieckiem! Gdy odlecia żurawie, skończę lat dziesięć! Ja także chcę iść na wyprawę wojenną do Italii, aby walczyć tam z Rzymianami!

Na to jeden z młodych wojowników odpowiedział śmiejąc się:

– Teraz nie ma potrzeby szukać Rzymian tak daleko.

Lecz te słowa zasmuciły widocznie starszych, którzy w milczeniu pokiwali tylko smutno głowami.

Rozdział V

WYCHOWANIE PRZYSZŁEGO WOJOWNIKA

Wojownicy mego ojca lubili mnie bardzo, nieraz bawili się ze mną, wdawali się ze mną w rozmowy, a gdym podrósł nieco, uczyli mnie sztuki wojennej. Głównymi mistrzami w tej sztuce byli Dumnak i Arwirag, nierozłączni przyjaciele i obaj tęgich zuchów. Nauczyli mnie władać mieczem i dzidą, ciskać włócznią, strzelać z łuku i procy, chociaż bowiem tych dwu ostatnich rodzajów broni nie uważano za oręż szlachetny, przydawały się jednak często na polowaniu. Poza tym nauczyli mnie siedzieć mocno i jak się należy na koniu, kierować nim, przy czym Dumnak był gotów sam podrażnić mego wierzchowca, aby ten niespodzianie rzucał się lub stawał dęba; Arwirag zaś, roztropniejszy i ostrożniejszy, miarkował jego zbytnią gorliwość obawiając się nie bez słuszności, abym przy tej nauce nie skrzywdził karku.

Ze wszystkich jednak naszych wojowników najbardziej lubiłem starego Prydana. Był to mąż w podeszłym już wieku, który służył jeszcze pod rozkazami mego dziada i w pewnej bitwie dostał takie straszliwe cięcie mieczem przez twarz, że mu wypłynęło lewe oko i na

resztę życia pozostała głęboka blizna. Mówiono mi, że odznaczał się niezwykłym męstwem, lecz nie miał zwyczaju przechwalać się swą odwagą, jak to czyniło wielu, nigdy nie opowiadał o swych przewagach wojennych, nie przymawiał się o podarunki i nie schlebiał wodzowi. Stał się też z piechura jeźdźcem bardzo późno, a następnie długo przebywał wśród koniuszych, czyli jeźdźców, którzy nie mają jeszcze prawa do noszenia złotego naszyjnika. Za pańskim stołem jadł i pił umiarkowanie, w chałupie zaś swej mieszkał samotnie, to znaczy, że prócz niego nie było tam ludzi, pełno miał za to różnych żywych istot, skrzydlatych i czworonoznych, gdyż zwierzęta niezmiernie lubił i doskonale umiał oswajać. Na dachu jego chałupy leżało koło, na którym para bocianów uwiła sobie gniazdo, u drzwi uwiązany na sznurku kręcił się i biegał tu i ówdzie młody lis, nad drzwiami zwisała duża klatka z parą sójek i uczoną sroką, która umiała wygwizdywać kilka zwrotek pieśni Wandila, wewnątrz zaś w mieszkaniu pełzał wąż, skakały dwie wiewiórki, biegał młody zajączek, kryły się po kątach dwa jeże, ponadto kilka królików, kotka z kociętami i nieduży piesek dopełniały „towarzystwa”. Piesek był niezdatny do polowania i straży domu, lecz właśnie Prydano dziwnie lubił zwierzęta słabe i bezbronne. Wszyscy jego domownicy godzili się ze sobą wcale dobrze. Najmilszą jego rozrywkę w czasie wolnym od zajęć wojskowych stanowiło wałęsanie się po lasach, polach i łąkach, na które jego jedyne oko z wielką spoglądało czułością; szczególnie zaś lubił przyglądać się niebu, zabarwionemu zwłaszcza poranną lub wieczorną zorzą, wskutek czego inni wojownicy żartowali sobie czasem z niego mówiąc, że Prydano jest czarownikiem i rozmawia z obłokami.

Odwiedzałem jego mieszkanie często, a i jemu moje odwiedziny zdawały się sprawiać przyjemność. I tak też pomiędzy mną, małym chłopakiem, a tym steranym w bojach starym wojownikiem zawiązała się szczerą przyjaźń. Prydano zabierał mnie czasem ze sobą na długie wycieczki. Wiedział najlepiej, gdzie rosną najpiękniejsze poziomki, gdzie się kryją najwyborniejsze orzechy i inne owoce leśne, gdzie i jak zastawiać sidła lub łowić raki i ryby! Wędrowaliśmy tak razem nieraz dość daleko, dochodząc niekiedy aż do skalistych wzgórz na wybrzeżu Sekwany, skąd było widać jak na dłoni Lutecję z jej mnóstwem drewnianych, słomą krytych chałup, zbudowanych na wyspie, a otoczonych dokoła wysokim częstokołem, i jej dwoma mostami przerzuconymi przez prawy i lewy rękaw Sekwany. Lutecja widziana w ten sposób, z góry, przypominała płaską łódź o dwu wiosłach, a trochę także i mrowisko, bo na jej dużym placu pośrodku między mostami i po wąskich a krętych uliczkach snuli się ustawicznie jak mrówki liczni jej mieszkańcy. Lutecja bowiem, jako największa wieś w kraju Paryzów, lub jak już wówczas poczynano nazywać, miasto, liczyła aż osiem tysięcy mieszkańców, a całych półtora tysiąca domów! W owej dobie uważałem ją za największe miasto świata. Sąsiednie zaś pomniejsze wysepki nie były wcale zamieszkane, niekiedy też podpływaliśmy do nich na łodzi, aby tam zapolować lub zastawić sidła na wydry, gdy tymczasem dokoła nas fruwały przerażone wtargnięciem do ich królestwa dzikie kaczki, gęsi, łabędzie, czaple i inne wodne ptactwo.

Pewnego razu Dumnak, Arwirag, Prydano i ja wyjechaliśmy we czwórkę z Szarej Skały o wschodzie słońca, zamierzając dotrzeć do góry Kamula i zapolować w błotnistych lasach na prawym brzegu Sekwany. Koniom naszym zadaliśmy dobrze obroku przed drogą i wzięliśmy dla nich i dla siebie pożywienie na cały dzień. Chociaż było to już jesienią i w ciągu ostatniego tygodnia padały silne deszcze, które nam wyrządziły nawet sporo szkód w gospodarstwie, ten dzień właśnie wypadł wyjątkowo ciepły i słoneczny, jechaliśmy więc rażno i wesoło, gawędząc, gdy nagle w jakiejś wyrwie z boku drogi, głęboko rozmytej przez ostatnie deszcze, ujrzelśmy sterczące olbrzymich rozmiarów kości. Wyglądały tak dziwnie, że zaciękało nas, jakiego zwierzęcia mogły to być kości. Zeskoczywszy więc z koni poczęliśmy je ogrzebywać. Znaleźliśmy przede wszystkim kość grzbietową potwornych rozmiarów, następnie odpowiedniej do niej wielkości kości rąk i nóg – wszystko należące bez wątpienia do jakichś olbrzymów.